

ZOŠKA  
PAPUŽANKA

ŽADEN  
KONIEC

MARGINESY

Projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym  
Nagrody Krakowa Miasta Literatury UNESCO,  
realizowanej przez Krakowskie Biuro Festiwalowe  
ze środków Gminy Miejskiej Kraków

COPYRIGHT © BY Zośka Papużanka  
COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

*dla E. z wdzięcznością  
i dla Ł. to, co mogę oddać*

Najpierw należy zrobić życie, własne lub cudze, nikt nie sprawdza; technika dowolna, farby plakatowe, pastele, ołówek, linoryt, można nawet wydziergać na szydełku. Następnie my wycinamy elementy według nadesłanego rysunku. Kroimy życie na dwa tysiące elementów, pakujemy, wysyłamy pod wskazany adres. Zaczynasz układać i w ogóle cię to nie zajmuje, bo kto powiedział, że układanie puzzli jest interesujące, że sami dla siebie jesteście interesujący. A po południu, kiedy masz gotową ramkę i kawałek obrazka, przychodzi kot, kładzie się na środku, ty oczywiście się denerwujesz i podnosisz głos, a on odchodzi, bardzo obrażony, z ważnymi elementami niby niechcący przyklejonymi do łap.

Najgorszą rzeczą jest stwierdzić, że brakuje jednego elementu. Śmieszne, że gdy się zgubi dwadzieścia, nikt się tym nie przejmuje.

Nie wykonujemy modeli przestrzennych. Życie jest płaskie jak kałuża.

Wcześniej. Kwiecień wchodzi przez uchylone okno, przynosząc złotą smugę słońca na brzegu stołu, szmer pierwszych samochodów, biały puch topoli tak powszechny, jakby ktoś rozpruł ogromną kołdrę, zdenerwowany, że znów nie może zasnąć. Taki sam dzień jak wtedy, jak osiemdziesiąt, trzydzieści lat temu, jak dwa dni temu i jak za dwa dni. Wiemy to codziennie od rana i zapominamy, bo nie da się z tą myślą żyć, musielibyśmy codziennie umierać.

Jakub potrafi zasnąć w każdej sytuacji, w każdym miejscu. Przykłada głowę do poduszki i zasypia. Napełni brzuch obiadem, zapada w fotelu i zasypia. Żona trąca go w nocy łokciem z pytaniem, czy śpi. Ona nie śpi i chciałaby pogadać, najlepsze rozmowy są wtedy, gdy przynajmniej jedna osoba spośród tych, które mogłyby pogadać, nie śpi, ale Jakub śpi, mruczy coś przez sen i jego żona musi pogadać sama ze sobą albo z jego mruzeniem. To nawet śmieszne; ona pyta: kochasz mnie? On odburkuje: uhm. A co chciałbyś dostać na urodziny? Hmhmhm. Lornetkę? Mhmh. Nie lornetkę? Yhm. To co chciałbyś dostać? Hmhm-

hm. Motocykl? Mhmmh! Jakub denerwuje się przez sen, że żona nie potrafi zrozumieć takich prostych rzeczy, a ona śmieje się razem ze swoją poduszką. Coś trzeba robić, gdy się nie umie zasypiać.

Jakub umie i zasypia, ale budzi się bardzo wcześnie, mimo że nie ma takiej potrzeby, nie powinien, jest niedziela i nikt nie powinien wstawać tak wcześnie. Jeśli ktoś jednak wstanie, musi nakarmić kota. Jakub to wie i kot to wie, siedzi już obok miski i pręży drżący ogon. Jakub wymienia wodę, nasypuje kotu kocie jedzenie, znajduje puszkę z ludzką kawą, ale wciąż nie o to chodzi, wciąż ma poczucie, że niedziela obudziła go niepotrzebnie i przedwcześnie, ponieważ istnieje jakaś potrzeba i na coś jest zbyt późno.

Kot już zjadł i aż do drugiego śniadania może znowu spać. Jakub też mógłby, gdyby miał podobnie na wszystko wywalone. Spośród stworzeń chodzących po świecie tylko kot nadaje się w stu procentach do życia w społeczeństwie, kot ma wywalone. Ludzie zupełnie nie nadają się do życia z ludźmi. Jakub też się nie nadaje, nie umie mieć wywalone, idzie do łazienki, myje zęby i goli się szybko, na pamięć, jakby jechał po swojej twarzy świetnie znaną trasą dom–sklep czy szkoła–dom.

Ogląda się w lustrze bez szczególnej odrazy, ale też bez przyjemności. Czterdziestka jest trudna do wytłumaczenia.

W pokoju na krześle wisi jasna koszula; żona Jakuba już w sobotę wiedziała, że w niedzielę nie będzie się

jej chciało prasować, a wyprasowana koszula się przyda. Żony są takie przenikliwe, rozumieją czas. Wyprasowana koszula oznacza, że teściowie przychodzą do nas na obiad albo my idziemy na obiad do teściów, myśli Jakub, ale już wie, że ten obiad nie nastąpi, nie odbędzie się, że teściowie ani tu, ani tam, ponieważ on musi natychmiast włożyć koszulę i wyjść. Jakub nie wie, skąd wie, że musi włożyć koszulę i wyjść. Zapina guziki, zaraz wyjdzie. Ludzie czasem robią coś, co trzeba zrobić, chociaż nie wiedzą dlaczego. Koty wiedzą, ale nie powiedzą. Może jego żona by wiedziała, ale udaje, że śpi. Może udaje, bo wie, że Jakub musi teraz na chwilę odejść bez tłumaczenia, może tego tłumaczenia nie ma, może tak będzie lepiej albo jakoś po prostu będzie. Ludziom trudno się do tego przyznać.

Jakub nie wie, dlaczego ma na sobie niedzielną koszulę wyprasowaną w sobotę, dlaczego na stole, na którego blacie coraz szerzej i szerzej panoszy się światło z okna, przygotowuje portfel, klucze i telefon, dlaczego otwiera szafę i zdejmuje z wieszaka marynarkę i dlaczego stara się działać po cichu, a robi to na tyle głośno, że budzi żonę. Zaraz o coś zapyta. Pauza dialogowa, wielka litera.

– Już wstałeś?

Jakub uwielbia odpowiadać w niepotrzebny sposób na niepotrzebne pytania. Już. Co to znaczy już. Jest dwadzieścia po siódmej. Już wstałeś? Przecież widać. Stoję. Wstałem. Nie leżę. Wstałem. Ale małżeństwo

w dużej mierze polega na odpowiadaniu sobie na oczywiste i niepotrzebnie zadane pytania, więc Jakub odpowiada, że tak, kochanie, że wstał i to się stało już. Na łóżko wskakuje kot i rozpoczyna koncert adresowany do pierwszej naiwnej, nic nie jadłem, nic nie piłem, w tym domu się głodzi zwierzęta, jesteście skandalicznie ludzcy.

– Trzeba nakarmić kota – mówi żona Jakuba.

– Już mu dałem jeść. Wstrętny kłamczuch.

– Nie chcesz przyjść tu do mnie? – Żona wystawia stopy spod kołdry. Wiecznie jest jej zimno w stopy, nawet w kwietniach, a mają ich za sobą tyle zgodnie spędzonych w zgodnym małżeństwie pełnym zbędnych pytań.

Jakub myśli, że miło byłoby wskoczyć do ciepłego łóżka, zrzucić kota z kołdry, wsunąć chłodne stopy żony pomiędzy swoje ciepłe uda i pomruczeć do jej ucha, że jeszcze chwilę, że jest niedziela, tak wczesnie, i nikt niczego nie musi. Ale on właśnie musi. Właśnie tej niedzieli musi coś. Teraz, w tej chwili. Już.

– Nie – odpowiada, wkładając klucze do kieszeni marynarki. – Chcę, chcę bardzo, ale nie. Muszę, coś muszę.

Kot cieszy się, gdy Jakub, ten zdrajca, wychodzi. Nie ma teraz żadnych świadków, którzy by go widzieli przy pierwszym posiłku, i można z całą kocią bezczelnością zebrać o drugi.



Jakub jest trochę podobny do swojego kota. Działa systematycznie i z rozmysłem. Głodny – jeść. Zmęczony – spać. Głodny – jeść znowu. Praca – pracować. Na tym polu kot oczywiście wygrywa, bo ma wywalone na kapitalizm i nie pracuje, bezczelnie je jedzenie, na które Jakub zarobił, i śpi w pościeli, którą Jakub kupił. Teraz akurat kot ma wywalone i śpi, a Jakub pierwszy raz od dawna nie działa z rozmysłem i systematycznie. Powinien leżeć w łóżku obok żony albo nakarmić kota po raz trzeci, a on tymczasem jedzie samochodem i słucha muzyki. Słucha głośno, żeby zagłuszyła myśli napraszające się o wyjaśnienie tego, co się właśnie stało, żeby zamalowała powstający w głowie Jakuba rysunek jego samego. Na tym rysunku Jakub w wyprasowanej koszuli jedzie samochodem, szczegóły są wyraźne, ale samochód jedzie po niczym i do nikąd i Jakub wolałby po prostu jechać, zamiast o tym myśleć. Jakub nie chce tych myśli, bo nie zna odpowiedzi. Nie wie. Może wie, ale nie ma czasu komukolwiek się tłumaczyć, nawet samemu sobie, bo wjeżdża na autostradę i powinien się skoncentrować.

Ruch jest nieduży, co raczej oczywiste, niedziela rano, wszyscy śpią lub karmią koty. Włączona muzyka rytmicznie prowadzi samochód i próbuje wyłączyć myślenie, ale myślenie wygrywa i domaga się informacji, dokąd się jedzie. I po co.

Jakub właściwie wiedział to od początku, wiedział w chwili przebudzenia, wiedział, gdy się golił i gdy szukał marynarki, cały czas wiedział, ale uwielbia suspens. Chce się zobaczyć z babcią. Obudziło go przeświadczenie, że powinien się zobaczyć z babcią, zupełnie jakby był Czerwonym Kapturkiem.

Co obudziło kota – nie wiadomo.

Dlatego Jakub się ogolił, znalazł marynarkę, wsiadł do samochodu. Żeby zobaczyć się z babcią. Nie ma koszyczka ze smakołykami i lekarstwami, ale to nic, babcia jest zdrowa i pewnie wcale nie je, a Jakub nie jest Czerwonym Kapturkiem. Zadzwoń do: tata, mówi Jakub do telefonu, a telefon wyłącza muzykę w samochodzie i odpowiada – dzwonię do: tata, mobile.

– Cześć, tato – mówi Jakub.

– Cześć – mówi tata.

– Jadę do was.

– Co takiego? – pyta tata. Jakuba dziwi jego zdziwienie.

– Jadę. Chciałem się zobaczyć z babcią. Jestem w drodze, będę za jakieś pół godziny, dobrze?

– Dobrze – odpowiada tata. – Ale babcia umarła godzinę temu.

Kierowca srebrnego wypasionego audi, które jedzie za Jakubem, naciska klakson. I ma rację, Jakub nie powinien tak zwalniać na autostradzie, to niebezpieczne. Srebrne audi wymija Jakuba, jego kierowca ostentacyjnie zwalnia na lewym pasie, uchyla okno i pokazuje Jakubowi faka, wielkiego faka na całą autostradę. Niedziela rano, kwiecień, piękna pogoda i nagle taki fak.

Jakub zaciska ręce na kierownicy i jego wzrok zatrzymuje się na rękawach koszuli zdjętej z oparcia krzesła, rękawy wystające spod marynarki, wyjętej z szafy przed godziną. Równo godzinę temu.

A ja byłam wtedy w Bazylei, mówi Justyna. Ale jeszcze nie teraz, dużo później mówi. Wiele lat i wiele spraw później.

Coś w Jakubie mówi mu, że należy zadzwonić do Justyny. Zadzwonił do: Justyna, mówi Jakub do telefonu, a telefon odpowiada – dzwonię do: Justyna, mobile. Jego samochód wypełnia się dźwiękiem wołania, odbierz, odbierz, głuchym dźwiękiem, jak z grobu. Odbierz, odbierz, telefon Jakuba prosi telefon Justyny, ale Jakub wie, że Justyna nie odbierze. Wie tak samo dokładnie, jak wie, że powinien do niej zadzwonić. Ma zresztą nadzieję, że Justyna nie odbierze, bo musiałby wtedy jej powiedzieć. Z dwójga złego lepiej taką rzecz powiedzieć niż napisać, napisana jakoś mocniej się staje, wyraźniej jest. Dlatego Pan Bóg świat powiedział, a nie napisał, i wszystko jest takie nie do końca. Oprócz śmierci. Śmierć jest do końca i Pan Bóg to zrobił specjalnie nam na złość. Ale Jakub o tym nie myśli. W ogóle w tej chwili nie myśli, bo telefonuje i prowadzi samochód. Zostaw wiadomość, mówi nagrany głos Justyny, ale Jakub się rozłącza. Nie ma żadnej wiadomości do nagrania. To, co ma, na pewno nie jest wiadomością. Wiadomość ma Justyna, która pisze: Cześć, Kuba, nie mogę teraz rozmawiać, jestem w Bazylei.

– Byłam wtedy w Bazylei – mówi Justyna. – Nie odebrałam. Przestraszyłam się. Przecież ty nigdy do mnie nie dzwonisz.

Ona często podróżuje, może jest w Neapolu, może w Barcelonie, może być nawet w Bazylei, mówi do siebie Jakub. Ale cała Bazylea razem ze swoimi bazyliškami i Arnoldem Böcklinem, i Justyną gdzieś tam w środku nie wiedzą na razie, że Jakub jedzie i jedzie, i będzie jechał, ponieważ życie właśnie pokazało mu faka i ponieważ nie można zwalniać na autostradzie. Można tylko jechać, można też ewentualnie napisać książkę, ale lepiej nie teraz, nie podczas jazdy autostradą. Wielu ludzi zatrzymuje się i pisze książki, ale niewiele z tego wynika.

Wielu ludzi zatrzymało się i napisało o śmierci wiele książek. Zatrzymujących śmierć. Smutnych, w większości. Ale mimo tych wszystkich smutnych książek śmierć jest nadal i nie musi być po niej smutno. Jakub czytał wiele smutnych książek o cudzych śmierciach, ale niewiele z tego wynikło. Śmierć się zatrzymuje, bo tak, ale ludzie nie umieją, ich interesuje to, co dalej. Kłamią jak kot, że nie jedli jeszcze śniadania.

Ludzie są ordynarni. Nie dość, że nie wstydzą się pisać, chociaż nie potrafią, to jeszcze nie wstydzą się pisać o sprawach, których powinni się wstydzić. Wstydzą się umierać, ale pisać o tym się nie wstydzą ani trochę.



Helenka stała pod budynkiem. Czekwała i paliła jednego papierosa za drugim. Nie umiała nie robić niczego, dlatego już wiele lat wcześniej opanowała palenie papierosów, żeby można było zapalić, bo wtedy dzieje się jakieś dzianie się. Dla Helenki w świecie bardziej jest coś niż nic, nie zniosłaby widoku samej siebie bez jakiegoś dziania się ani nie zniosłaby myśli, że ktoś widzi ją w czasie nierobienia niczego, dlatego paliła podczas każdego antraktu w jej życiowej narracji. Jakub i jego żona nie palili, ale nie musieli, ponieważ robili coś, kłócili się, gdzie zaparkować samochód, parkowali samochód, wysiadali, wyjmowali rzeczy z bagażnika, witali się z Helenką. Bardzo wiele mieli do zrobienia i Jakub zapalił dopiero po tym wszystkim, gdy papierosowy pocałunek jego matki przypomniał mu, że nie palił prawie dwie godziny. Żona Jakuba nie paliła, wołała nic od czegoś, ale mogłaby palić, miała całą masę pustych miejsc w narracji, żadne wydawnictwo nie zainteresowałoby się jej pamiętnikami. Właściwie teraz narracja też nie jest jej, tylko cudza, jest narracją Jakuba, ale żona Jakuba też była Jakuba,

więc różne rzeczy mieli wspólne, jakieś odcinki w narracji również. A poza tym sam ją poprosił, żeby ten odcinek opowieści rozdzielić między ich dwoje, żeby z nim pojechała.

– Pojedź ze mną – powiedział. – Sam sobie z nimi obiema nie poradzę.

– Ale dlaczego z obiema? – zapytała. – Przecież mamy jechać do twojej babci.

– Moja matka też tam będzie. Powiedziałem jej, że przyjedziemy odwiedzić babcię, więc powiedziała, że też tam będzie.

– Ale po co?

– Nie wiem. Pewnie po to, żebym nie mógł sobie z nimi obiema poradzić.

– To dlaczego jej powiedziałaś, że chcesz przyjechać odwiedzić babcię. Wiedziałaś, że też przyjdzie.

– Wiedziałem. Powiedziałem. Nie wiem.

Jakub zawsze mówił wszystkim wszystko. Jego praca opierała się na mówieniu. Był wykładowcą od wykładania słów. Uczył więc tautologii, autotematyzmu, metajęzyka i trochę komunikacji. Mówił o mówieniu. Wracał z uczelni do domu i mówił o tym, co było w pracy, potem odbierał telefony, oddzwaniał. Wyjaśniał, tłumaczył, opowiadał. Bardzo ładnie i mądrze mówił, trzeba przyznać, ale za dużo. Gdyby słuchał babci, wiedziałyby, że nie trzeba tak wiele mówić, że w ogóle nie trzeba mówić, żeby poustawić cały świat. Słowami to każdy potrafi.

– Jak podróż? – spytała Helenka, jakby przyjechali co najmniej z Meksyku. Żona Jakuba skierowała na niego błagalne spojrzenie, ty powiedz, a Jakub opowiedział Helence, jak podróż, dokładnie i z pikantnymi szczegółami w postaci remontu na drodze, postoju na kawę oraz że się zanosilo na deszcz, ale się w końcu nie rozpadało, nie ma o czym mówić, ale można powiedzieć.

– Wchodzimy? – zapytała Helenka.

– Zaraz, skończę palić – odparł Jakub.

– To ja też sobie jeszcze jednego zapalę – powiedziała Helenka, świadoma, że nie można sobie pozwolić na pusty przebieg w poezji. W prozie tak, ale nie w liryce. A umieranie to chyba raczej poezja, przynajmniej tego się spodziewamy, otwierając książkę, przyzwyczailiśmy się, książki nas przyzwyczały. – Ona już chyba niedługo umrze. Tak wygląda.

Babcia wyglądała, jakby umarła już dawno temu i tylko ją trzymali ku przestrodze innym starszkom. Na bardzo szczupłej twarzy leżały oczy, prawie przezroczyste, barwy roztworu żelatyny, wielkie, zabrane z twarzy kogoś innego. Głowa oparta została na trzech poduszkach, a ręce ułożone we wgłębieniach kołdry przygotowanych specjalnie do rozmiaru chudych dłoni, wygotowanych nóżek kurczęcia ułożonych tak, jakby czekały na zastygnięcie glinianej formy. Babcia, poluzowany kurczak trzymający się dzięki podparciom z wykrochmalonych poduszek. Rzeźbę babci otoczono ze wszystkich stron wotami w postaci słoików z rosółem i barszczem, ozdobionych naklejkami ROSÓŁ i BARSZCZ, wykaligrafowanymi jak na konkurs na kaligrafię kulinarną, pudełkami pełnymi kotletów, pierogów, bigosów, krokietów, potrawek z drobiu, udekorowanych fantazyjnymi kompozycjami z pomarańczy i bananów oraz kaprysami architektonicznymi z czekoladowych batoników.

Spośród wszystkich produktów zużytych do przygotowania tej laurki organizm babci od lat podej-

mował się trawienia wyłącznie bananów i marchwi, o czym było wiadomo, gdyż babcia tę wiedzę upowszechniała. Wiedziała o tym również Helenka, autorka martwej natury z babcią. Wiedziała, ale mimo to gotowała, przynosiła i układała. Z kilku powodów. Po pierwsze – lubiła gotować, czekać, aż wystygnie, narzekać, że tak długo, wkładać do pudełka i dźwigać, i zanosić, i pytać, czemu nie jesz, i martwić się, że się zmarnuje. Po drugie – babcia przebywała w specjalnym zakładzie oczekiwania pobożnej śmierci prowadzonym przez zakonnice, które gotowały smacznie i codziennie, głównie zaś potrawy składające się z marchwi i bananów, z przeznaczeniem dla żołądków stuletnich. Sam fakt, że obiad był smaczny i codzienny, wystarczał, według Helenki, by stanąć w szranki z klasztorną kuchnią. A poza tym widziała w jedzeniu miłość, dużo miłości, i ogromnie chciała się zaprezentować jako najlepsza synowa najstarszej i najchudszej pensjonariuszki. Jak by to mianowicie wyglądało, że babcia nie leży na ołtarzu jedzenia. Miała leżeć. Leżała. Jedzenie po jakimś czasie się psuło, można było je wyrzucić i przy okazji popłakać sobie, jak to trud człowieczy jest niedoceniany i że tyle serca się wkłada. I to też jest bardzo potrzebne, takie popłakanie. Po otarciu łez można bowiem ugotować wszystko od nowa, ostudzić, spakować do pudełek i ponownie ozdobić pokój, stosownie do okazji w kalendarzu świeckim lub liturgicznym. Jedzenie jest szalenie terapeutyczne.

Jakub pochylił się nad babcią, żeby jak najdelikatniej pocałować ją w czoło, i zawadził łokciem o pudełko z pierogami. Pierogi pospadały pod łóżko, żona Jakuba schyliła się, żeby je pozbiierać, i odkryła księżycowe królestwo butelek z wodą mineralną i oblizanych z wierzchu tabletek, których wyrzucaniem babcia wyrażała swoją zgodę na śmierć oraz sprzeciw na zakonnice.

– Dzień dobry, babciu – powiedział Jakub.

– Wożę mnie do kaplicy – wyszeptła babcia. – Ja im mówię, nie zabierajcie mnie do tej kaplicy, nie będę się modlić, a one mówią, że ja się powinnam modlić. Chociaż trochę. Może i tak, ale skąd one to mogą wiedzieć?

– Dobrze się czujesz, babciu? – zapytał Jakub.

– Taka jedna do mnie zagaduje, czy ja jestem wierząca. A ja mówię, że nie, tylko że mnie do zakonnicy oddaliście, bo było najbliżej. Nigdzie dalej się mnie nie dało przewieźć, bobym się rozpadła, rozsypała się jak pudełko zapalek. Ja jestem niewierząca, a Panu Bogu wszystko jedno, czy ja się pomodłę, czy się nie pomodłę! Wszystkim jest wszystko jedno!

– Masz tu koleżanki jakieś? Takie do pogadania?

Łóżko pod drugim oknem zaskrzypiało i spod kołdry wyłoniła się zaspana twarz staruszki z plastrem na czole.

– A do mnie też wnuki przychodzą! Dzień dobry!

– Siedź cicho! – burknęła babcia w stronę plasterka. – Nie mam żadnych koleżanek! Do nikogo się nie odzywam.

Żona Jakuba wyłoniła się spod łóżka babci, otworzyła stopą kosz na śmieci i wyrzuciła znalezione pierogi. Helenka westchnęła.

– Babcia nic nie je.

– Jak to nie jem? Jadłam wczoraj! Herbatę z cukrem!

– Herbata jest do picia.

– Ale cukier jest do jedzenia! A nie jem, bo one chcą mnie otruć, te zakonnice.

– Jak to otruć, babciu? – Żona Jakuba pogłaskała ją po dłoni. – Przecież my płacimy za pobyt babci tutaj. Im się nie opłaca otruć.

– No właśnie – szepnęła babcia. – Otrują mnie, schowają ciało w piwnicy, nie powiedzą wam o mojej śmierci i będą jeszcze pół roku brać pieniądze. Już tak robiły wcześniej! Na pewno i nie raz!

– Ale przecież Helenka jest tu co drugi dzień, to chyba by zauważyła, że babci nie ma?

– Codziennie prawie – uzupełniła Helenka.

– A może by nie zauważyła? Może by podłożyli kogoś innego? Wiesz, ilu tu mają prawie nieboszczyków? A po śmierci każdy tak samo wygląda. Albo by powiedzieli, że jestem akurat w kaplicy na nie-szporze.

Jakub się zaśmiał. Żona Jakuba się zaśmiała. Starszka numer dwa też się zaśmiała. Cały budynek się



zaśmiał. Słońce się zaśmiało i chmurki, i trawa, i piesek na trawie. Tylko babcia się nie zaśmiała.

Jakub usiłował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek w ogóle widział, jak babcia się śmieje. Nie przypomniał sobie.